WIEM WSZYSTKO

50 GR

TYGODNIK AKTUALNOSCI POD REDAKCJĄ WŁODZIMIERZA POPŁAWSKIEGO

Nr. 7. Warszawa, Niedziela 8 marca 1936 r. Rok I.

BACZNOŚĆ!!!

Mojsie Lewin na horyzoncie Fundacji

Polska, mimo wrodzonego pesymizmu jej mieszkańców, musi być krajem conajmniej równie bogatym jak złotodajne Clondyke. Tylko tem bowiem tłumaczy się fakt ogromnego zainteresowania nami niezliczonych rzesz mniej czy więcej pomysłowych. **kombinatorów lub wręcz aferzystów,** którzy przebywając nawet poza granicami Rzeczypospolitej nie zapominają o tem aby przy naszem ogniu upiec sobie smakowitą pieczeń.

Te spostrzeżenia nasuwają się nam w związku z głośną, coraz głośniejszą sprawą

Fundacji im. Jakóba hr. Potockiego, której ogólne zarysy, a także sylwetki osób bezpośrednio z Fundacją tą związanych podaliśmy w poprzednim numerze.

Przeciętnego obserwatora, który niemógł niewzruszyć się równie pięknym, jak ludzkim gestem Potockiego, niewątpliwie zainteresują fakty dotyczące nietylko tego, jak to „przyjaciel" zmarłego magnata p. notarjusz Zabierzowski spisując testament w obecności hrabiego ustalił wartość całego majątku na około 15.000.000 zł., a po śmierci Jakóba Potockiego **cyfrę 15 miljonów podniósł do... 37,5 miljona zł.**

To są wszakże nikłe drobnostki, wobec bogatej i nader aktywnej działalności jaką p. Zabierzowski rozwinął wokół Fundacji.

Ten i ów, czytając te słowa zapyta, zupełnie słusznie:

jakiż interes miałby p. rejent

w tem aby bruzdzić wykonawcom testamentu, jakiż interes przedstawia dlań to kategoryczne domaganie się od wykonawców Bronisława Czuruka i Kazimierza Moszyńskiego przekazania majątku po zmarłym Radzie Fundacyjnej?

Wszakże, w przeciwieństwie do wykonawców, p. Zabierzowski z tytułu interesowania się sprawą Fundacji,

nie otrzymuje żadnej pensji.

To co robi, robi honorowo, dla dobra sprawy... Równie honorowo pracuje dla dobra Fundacji skarbnik Rady, Franciszek hr. Radziwiłł, a jedynie p. mecenas Raczkiewicz inkasuje miesięcznie 4.500 zł., nielicząc nieograniczonych zaliczek i 200 - złotowych djet.

Wynikałoby z tego, że ongiś wybitny działacz B. B. notarjusz Zabierzowski nie zapomniał i dzisiaj o dewizie Bloku, która brzmi:

„Prawem naczelnem — dobro Państwa!"

Ale to jest jedna strona medalu, coprawda bardzo umiejętnie naświetlana i reklamowana przez **nadwornych szefów propagandy p. Zabierzowskiego,**

ale... temniemniej tylko jedna.

Druga przedstawia się nieco odmienniej.

Przejdziemy tu do sprawy która pozornie niema nic wspólnego z wysoce „obywatelską" postawą moralną Zabierzowskiego.

W testamencie sporządzonym przy pomocy tegoż p. Zabierzowskiego, Jakób hr. Potocki zaznaczył wyraźnie, że pragnie aby przewiny plenipotenta Aleksandra Rozembergha nie puszczono płazem i gdyby sprawa karna wytoczona przeciwko Rozemberghowi niedała pozytywnych rezultatów, akcję przeciw nieuczciwemu plenipotentowi

należy przenieść na drogę cywilną.

I tu właśnie „leży pogrzebany pies". Pan notarjusz błyskawicznie zorjentował się jaką żyłą złota może, przy odpowiedniem pokierowaniu sprawą, stać się ten właśnie punkt testamentu.

Niezrażony tem, że już po pierwszych kombinacjach, p. Moszyński otwarcie powiedział mu co o nim myśli, notarjusz gładko

przełknął niezbyt przyjemną pigułkę i wiedząc o tem, że wykonawcy testamentu, wraz z prezesem w międzyczasie powołanej do życia Rady Fundacyjnej p. min. Chodźko wyjeżdżają do Paryża aby objąć tam masę spadkową po zmarłym magnacie i załatwić sprawe z Rozemberghem, tak długo starał się, korzył, przyrzekał, aż wreszcie wykonawcy testamentu pod wpływem namów osób miarodajnych, zgodzili się zabrać p. Zabierzowskiego **na koszt masy spadkowej do stolicy nadsekwańskiej.**

P. Zabierzowski, podkreślając stale swe „przyjacielskie" stosunki łączące go ze zmarłym, starał się wmówić, że przed samym zgonem hr. Potocki zwierzył mu się, że w pałacu paryskim nieopodal Champs Elysees są skrytki, a w nich klucz do odnalezienia olbrzymiej fortuny, rzekomo zdeponowanej w bankach londyńskich.

Ta legenda z brukowego romansu ułatwiła p. notarjuszowi wyjazd do Paryża!

Tutaj, gdy miejscowy notarjusz zabrał się do opisywania inwentarza w pałacyku zmarłego hrabiego przy Rue Ruler, zdawało się, że p. notarjusz Zabierzowski **zrezygnuje z dalszych „cudeńków".**

Nic podobnego. P. Zabierzowski biegał po całym pałacyku, opukiwał ściany, tu i owdzie kazał je nawet dziurawić, aby sprawdzić, czy pod cegłami niema skrytki. Oczywiście skrytki niebyło. Tak zresztą jak niebyło żadnej logicznej potrzeby aby wykonawcy testamentu zabierali ze sobą p. Zabierzowskiego...

Nie dość na tem, że sympatyczną podróż do Paryża, a nawet Londynu notarjusz odbywa na koszt masy spadkowej, opis mienia w Paryżu, sporządzony wedle przepisów przez miejscowego notarjusza, daje okazję jego warszawskiemu koledze do sporządzenia licho wie poco drugiego, analogicznego opisu i szacunku mienia paryskiego, zaco

żąda od wykonawców testamentu około... 3.000 zł.

Stosownie do opinji ówczesnego ministra Opieki Społecznej i **na podstawie uchwały Rady Fundacyjnej,**

wykonawcy testametu zdecydowali się na ugodowe załatwienie sprawy z Rozemberghem, widząc, że tylko tą drogą da się wydobyć z rąk ex - plenipotenta chociażby resztki ongiś przywłaszczonego mienia.

I znów p. notarjusz Zabierzowski, który w międzyczasie zetknął się w Paryżu z osławionym Mojsie Lewinem, rozumując słusznie, że zlikwidowanie sprawy Rozembergha **pozbawi go poważnych dochodów w postaci stałej pomocy notarjalnej, no i innych, pobocznych kombinacyj,** postanawia za wszelką cenę niedopuścić do realizacji ugody. Gdy więc pp. Moszyński i Chodźko opuszczają po załatwieniu wszystkich spraw Paryż, p. Zabierzowski żegna się z nimi, rzekomo wyjeżdżając na Rivierę, gdzie ma zamiar odpocząć po ciężkiej pracy.

Odpoczynek na Rivierze sprowadza się do rozpoczęcia **na własną rękę rozmów z Rozemberghem na temat fundacji i ugody.**

Na rezultaty tych rozmów nietrzeba długo czekać. Do Warszawy nadchodzi wiadomość, że Rozembergh wycofuje się z pertraktacyj ugodowych, bowiem porozumiał się z polskim vice-ministrem przemysłu i handlu, który zaproponował mu bez porównania korzystniejsze warunki... Razem z tą wiadomością, przybiega do Warszawy wieść, że bardzo żywe zainteresowanie towarzystwami akcyjnemi stworzonemi za pieniądze Jakóba hr. Potockiego przez Rozembergha,

wykazuje Mojsie Lewin...

Tu, poraz drugi wypada użyć przysłowia: „hier ist der hund begraben".

Czytelnikowi polskiemu jest niewątpliwie znana postać p. Lewina. Bardziej zorjentowany przypomina sobie, jak to ten rosyjski żydowin „przysługiwał" się Polsce.

Mojsie Lewin przez szereg lat żerował w Paryżu na dyskoncie sowieckich skryptów dłużnych. Gdy konjunktura zmieniła się Lewin z kombinacyj sowieckich przerzucił się na... polskie skrypty.

Dyskonto ich, to najbardziej zbójecka kombinacja jaką można sobie wyobrazić.

Oczywiście to nie obchodziło zupełnie p. Zabierzowskiego i chętnie pospołu z p. Lewinem postanawia zrobić wielki interes.

Na czem ma ten interes polegać? Kombinacja jest dość prosta. W wyniku ugody z Rozemberghem, Fundacja uzyskuje odeń między in. 94% akcyj banku Centrale Parisienne. Bank ten, aczkolwiek istnieje niedawno, bowiem zaledwie od 12 lat, dzięki stosunkom Rozembergha uzyskał zatwierdzenie statutu,

który daje mu uprawnienia najstarszych banków.

Tu warto zaznaczyć, że oprócz akcyj banku, Fundacja przyjmuje jeszcze od Rozembergha osobiście 51% akcyj elektrowni l'Ouzom, która nota bene jest we wspomnianym banku zadłużona na około 2,400,000 fr. Pozatem, wbrew artykułom usłużnych szefów propagandy pp. Zabierzowskiego i Lewina,

Fundacja nie przyjmuje żadnych innych akcyj,

a tylko 5 placów w nast. miejscowościach: Cap-Ferrat, Croix des Gardes, dwa w Cibore, Ste Genevieve, ponadto willę „Pallazino" w Monaco i willę w Biarritz na którą wbrew intencjom wykonawcy testamentu p. Moszyńskiego,

prezes Fundacji min. Chodźko dał Rozemberghowi... dożywocie.

Jak widać z powyższego wykazu, w pozycjach przyjętych przez Fundację od Rozembergha ani rusz niemożna doszukać się

jakiejkolwiek „pompy ssącej",

którem to mianem jeden z nadwornych organów p. Zabierzowskiego raczył ochrzcić ugodę z Rozemberghem.

Pragnąc sprawę naświetlić absolutnie bezstronnie, udało nam się przewertować dokładnie wszystkie

(Dokończenie na str. 2-ej).

NR. 6 „WIEM WSZYSTKO" ULEGŁ KONFISKACIE, WOBEC CZEGO NIEMOGLIŚMY DOSTARCZYĆ GO DO NORMALNEGO KOLPORTAŻU, ZACO CZYTELNIKÓW NASZYCH NAJUPRZEJMIEJ PRZEPRASZAMY.

Na Polskę spłynął deszcz DUKatów!!

(Dokończenie ze str. 1-ej).

dokumenty dotyczące porozumienia z Rozemberghem. Widać z nich, dosłownie czarno na białem, że poza wymienionemi nieruchomościami i 94% akcyj Banku Centrale Perisienne, przyjęto od Rozembergha jedynie wspomniane

51% akcyj elektrowni w l'Ouzom.

I tylko ta ostatnia pozycja wymaga może pewnych wyjaśnień.

Elektrownia, o której tak pogardliwie piszą nadworne organy p. Zabierzowskiego jest istotnie niewielka, ale dzięki idealnemu położeniu zarówno terenowemu jak i strategicznemu, od dawna jest objektem żywego zainteresowania zagranicznego kapitału, któryby chętnie,

jak np. ostatnio kapitał szwajcarski, inwestował w tem przedsiębiorstwie większe sumy.

Wynikałoby stego, że elektrownia w l'Ouzome nietylko, że nie jest przedsiębiorstwem deficytowem, ale mogłaby przy umiejętnem pokierowaniu sprawą dać Fundacji pokaźne zyski. Jeśli natomiast Fundacja niechciałaby sobie zaprzątać głowy wspomnianym objektem, w chwili obecnej, bez najmniejszego wysiłku można posiadane akcje elektrowni sprzedać,

osiągając minimum... kilka miljonów franków.

A więc niema mowy o jakichkolwiek „stratach" czy „dokładniach". Nie wymagają ich również, jak łatwo pojmie każdy zdrowo myślący człowiek, ani place, ani wille...

Między aktywami 94% przyjętych akcyj banku Centrale Parisienne, znajdują się oczywiście niewielkie ilości akcyj różnych, mniej czy wiecej dochodowych przedsiębiorstw,

akcje te jednakże nie domagają się... chleba,

słowem i na tym odcinku nie powiodło się z mityczną „pompą" ssącą",

Ba, ale od czego jest geszefciarski talent Mojsie Lewina, który błyskawicznie zorjentował się w wartości pirenejskiego objektu, tak zresztą, jak z właściwym mu sprytem doszedł do wniosku, że istnienie banku Centrale Parisienne, gdyby został on przejęty przez jakąkolwiek bądź finansową instytucję polską mogłoby położyć kres dotychczasowym nachinacjom dyskontowym, bowiem bank ten mógłby bez trudu, korzystając z niskiego oprocentowania kapitału we Francji dyskontować

na godziwych warunkach polskie skrypty dłużne...

I Mojsie Lewin musiałby znów swą skołataną tylu kombinacjami głowę jeszcze raz wysilić w kierunku wymyślenia nowej „machlojki".

I oto w prasie polskiej, z przedziwną systematycznością zaczynają pojawiać się alarmujące artykuły i korespondencje „specjalnych wysłanników".

Czy są one tylko inspirowane przez godną kompanję spod znaku p. Zabierzowskiego, czy też wogóle tym „specjalnym wysłannikiem"

jest poprostu excelencja Mojsie Lewin tego narazie niesposób ustalić. Natomiast nawet dziecko zauważy że artykuły te konsekwentnie starają się zniwelować wszelkie wartości, jakie wykonawcy testamentu, po długotrwałych pertraktacjach, zdołali od Rozembergha wyciągnąć.

W tej akcji, kierownicy jej nie cofają się oczywiście przed żadną podłością, zapominając, że atakują nietylko poszczególne, dla nich niewygodne jednostki, ale również,

i to przedewszystkiem, interes Rzeczypospolitej.

Ale bo też intresy Rzeczypospolitej, jakkolwiek niepowinny być obce p. Zabierzowskiemu, to przecież są zupełnie obojętne Lewinowi, a Mojsie Lewin nietylko sam potrafi żyć, ale i innym, jak warto, życie ułatwia...

Najzabawniejszy w tem wszystkiem jest fakt, że centralnym megafonem jakże bardzo nie[illegible] aczi nej akcji Mojsie Lewina, jest w Warszawie, mamy nadzieję — podświadomie, dziennik, którego główny właściciel jeszcze nie tak dawno

był przez tegoż Lewina bezpardonu, po chamsku atakowany.

Tak oto przedstawia się drugi etap działalności „bojownika" o czystość Fundacji" p. notarjusza Zygmunta Zabierzowskiego. W dalszych artykułach przyjrzymy się „przyjacielowi" Jakóba hr. Potockiego jeszcze dokładniej. Bezwzględnie zasługuje na to...

Prawdzic.

Co to jest DUKat?

Co zrobił Lewiatan dla Polski?

Niema motoryzacji, filmu, przemysłu gumowego

Ostatnie debaty sejmowe, a także sensacyjne, bądź co bądź, sesje po raz pierwszy w Polsce obradującego sejmu gospodarczego, każą nawet najbardziej obojętnym i dalekim od tych spraw — ludziom uważniej przyjrzeć się naszej sytuacji ekonomicznej tylekroć reklamowanej w najbardziej słonecznych, kojących barwach, a tak — niestety dalekiej od chociażby najskromniejszej przeciętności.

DARY SZAREGO CZŁOWIEKA

W artykule niniejszym niemamy zamiaru zastanawiać się nad tem, co robił szary człowiek dla odbudowy Rzeczypospolitej.

Niekończący się łańcuch pożyczek długo i krótkoterminowych, miljonówek, etc. wszystko to przemawia aż nadto wymownie i chyba przekonywująco. Dlatego też ten, aż przesadnie w wielu wypadkach ofiarny, szary człowiek, ten z nędzą codziennego bytowania borykający się urzędnik, ten parias Europy, ma prawo właśnie dzisiaj, właśnie w obliczu obradującego sejmu gospodarczego zapytać co w rzeczywistości dla Polski zrobił inny, ktoś bardzo możny, bardzo potężny, bardzo syty i... jak każdy syty, bardzo obojętny.

A GDZIE DARY LEWIATANA?

Co zrobił dla Polski — Lewiatan? Ten sam Lewiatan, o którym tak czarująco, a nieprzekonywująco rozwodził się niedawno w Sejmie poseł proletarjackiej Pragi, Pragi Anopola i „Polusa" — prezes Lewiatana p. Andrzej Wierzbicki?

P. Wierzbickiemu oczywiście trudno będzie dać wyczerpującą odpowiedź na nasze pytanie, trudno nawet wówczas, kiedyby przyszedł mu z pomocą drugi as Lewiatana p. senator Karsz-Siedlewski...

TRZY PRZEMYSŁY

Dlatego też, aby zbytnio nie obciążać tych panów, i tak nadmiernie obciążonych ciężkim trudem odcinania kuponów od najróżniejszych prezesur czy wiceprezesur, polskich i niepolskich towarzystw, pytanie nasze sprowadzimy do trzech gałęzi przemysłów, któreby w Polsce miały wszelkie szanse rozwoju, a które, niestety znajdują się w sytuacji rozpaczliwej.

Mamy tu na myśli przemysł filmowy, przemysł motoryzacyjny i przemysł gumowy.

Ponad trzydziesto miljonowe mocarstwo produkuje rocznie 10 do 15 filmów, z których najwyżej 40% utrzymuje się przez dłuższy czas na ekranach stolicy, a najwyżej 10% trafia zagranicę do bardzo podrzędnych „bioskopów".

GROSZOWE INTERESY

Sumy, jakiemi nasz „przemysł" filmowy obraca, są tak znikome, że właściwie nie odgrywają one żadnej roli w ogólnym bilansie Państwa i to właśnie wówczas, kiedy w sąsiedniej, bez porównania mniejszej republice Czechosłowackiej przemysł filmowy od szeregu lat utrzymuje się na jednem z poczęśniejszych miejsc.

Mamy, po Rosji najlepszych aktorów w świecie. Wiemy doskonale, że gdyby znajomość obcych języków pozwoliła Jaraczowi czy Stępowskiemu występować na obcych scenach napewno zagranica porwałaby nam tych aktorów. Mamy paru wcale tęgich reżyserów, mamy tak wręcz znakomitych dekoratorów, jak np. Daszewski, są niewątpliwie miedzy nami ukryte talenty operatorskie i in., a mimo to — polski przemysł filmowy pozostaje od lat przemysłem par excellence anonimowym, domeną dyletantów, półanalfabetów, kombinatorów, którzy znacznie lepiej potrafiliby handlować... pesiem pierzem niż produkować filmy.

WIGILIJNA KIEŁBASA

Sławny jest wszakże ten „reżyser" filmowy, który robiąc super-narodowy film i przedstawiając wigilję rasowych sarmatów, kazał im w czasie wigilijnej wieczerzy opychać się... kiełbasą serdelową!

To ostatecznie drobnostka, [illegible] niejeden. Ale z takich właśnie drobnostek składa się beznadziejnie smutna całość. Z takich drobnostek ulepia się idjotyczne brechty, albo koszmarne w swej podejrzanej „duszoszczypatielnosti", albo kretyńsko „dowcipne".

PRODUKCJA „NA ZAŁAPANEGO"

Resumując — cała polska produkcja filmowa jest obliczona na „załapanego". Wszakże nie jest bajką ta historja z jednym z naszych „producentów", który niemając grosza w kieszeni, przedewszystkiem angażuje jednego ze znanych aktorów, płaci mu przy podpisaniu kontraktu z trudem pożyczone 100 zł., a dopiero potem, mając już ten właśnie kontrakt podpisany, biega od kiniarza do kiniarza i zbiera zaliczki, z których formuje się kapitał potrzebny na „produkcję".

Próbował się coprawda zająć filmem — rząd. Ponoć kilkaset tysięcy złotych z państwowej szkatuły przeszło do kasy ad hoc zorganizowanej spółki, do której weszli pp. Sieroszewski, Goetel, Filipowicz i Weronicz. Niestety, żaden z tych, skądinąd zacnych panów niemiał pojęcia, jak się do filmu zabrać. „Panta - Film" zrobiła jeden obraz i na tem swą egzystencję bodajże zakończyła, pozbawiona zarówno dalszej inwencji, jak i... gotówki.

LEWIATAN MILCZAŁ

Był to oczywiście klasycznie chybiony eksperyment, ale niemiałby ani on miejsca, ani nie panoszyłby się u nas anonimowy „przemysł" filmowy, gdyby tym zakresem rodzimej produkcji zainteresował się nietylko wielki kapitał Lewiatana, a również, jakże bardzo trzeźwi i przytomni ludzie spod znaku p. Wierzbickiego. Ich kalkulacja handlowa, ich „szeroki oddech" gotówkowy połączone z talentem inteligentnych twórców, dałyby nam przemysł filmowy taki, na jaki Polska, rozporządzająca tak wspaniałemi możliwościami — zasługuje.

MOTORYZACJA

O ile rozbudowa przemysłu filmowego może być przeprowadzona stosunkowo małemi inwestycjami i dość łatwo, o tyle znacznie bardziej skomplikowanie przedstawia się już inna gałąź, również zupełnie przez Lewiatana zaniedbanego przemysłu motoryzacyjnego.

Czytając nasze rewelacje o Polskim Fiacie, bystrzejszy obserwator bez trudu mógł się zorjentować, że pierwsze skrzypce w tych wszystkich pertraktacjach grało Państwo. Że nikt inny, a właśnie Państwo dosłownie wyłaziło ze skóry, aby należycie zmotoryzować Polskę, aby ją wreszcie wyciągnąć z marazmu Kopciuszka. Że na przeszkodzie doskonałym zamierzeniom stawali podli i wyrachowani ludzie, to inna sprawa. Faktem jest, że cała inicjatywa wypływała li tylko ze strony Państwa. Potężny, gotówką dławiący się Lewiatan... trzymał wodę w buzi. Milczał jak zaklety. I cóż?

WSPANIAŁOMYŚNY GEST

Dzisiaj, kiedy Rzeczypospolita telepie się na... chłopskiej furce zaprzężonej w nędzną szkapę, Lewiatan wspaniałomyślnie decyduje się rozwiązać tragiczny w naszych warunkach problem motoryzacji ofiarowując wzamian za lichwiarskie koncesje polskiemu nędzarzowi — włoski wózek, zbyt delikatny nawet na idealne italskie autostrady.

Rozumiemy, że sprawa motoryzacji, to nie drobnostka równa powołaniu do życia np. przemysłu filmowego. Wiemy, że produkcja samochodów zazębia się o szereg najróżniejszych dziedzin, ale... chyba gra warta jest świeczki?

INTERWENCJE...

I znów trzeba stwierdzić z przykrością, że Lewiatan w tym kierunku nie zrobił nic, a raczej — owszem! Pan prezes Wierzbicki i jego adherenci nieraz „interwenjowali" w gabinetach ministrów, domagając się zmniejszenia, rozłożenia czy wogóle skasowania jakichś podatków, grożąc, że w przeciwnym razie... trzeba będzie zamknąć fabrykę i oto znów kilkudziesięciu czy kilkuset ludzi pójdzie na bruk, stwarzając idealny pocisk dla opozycji.

To wszystko.

PRZEMYSŁ POGRZEBANY

Wreszcie na zakończenie rzućmy okiem na... przemysł gumowy. Tutaj jednakże winę ponosi nietylko Lewia-

(Dokończenie na str. 3-ej).

Tandeta techniczna PASTy

A gdzie dotrzymanie aktu koncesyjnego?

Jak można było przewidzieć, „Polska" Akcyjna Spółka Telefoniczna nie zdecydowała się odpowiedzieć na nasze zapytania w sprawie poszczególnych paragrafów aktu koncesyjnego między tą instytucją a Ministerstwem Poczt i Telegrafów.

Przewidując taki obrót, czekaliśmy jednakże cierpliwie, łudząc się mimo wszystko, że dyr. Olendzki wyzwoli się spod skrzydeł swych „duchów opiekuńczych" i uczciwie, po męsku odpowie na pytania, które pozwolą nam zobaczyć oblicze PAST-y we właściwem chociażby niezupełnie korzystnem świetle.

Przeliczyliśmy się.

BASZTA MILCZY!

Baszta Cedergrena milczy, jak zaklęta, my więc, aczkolwiek nieupoważnieni postaramy się odpowiedzieć na pytania postawione w poprzednim numerze.

Jak wynika z poszczególnych paragrafów aktu, podpisując go, PAST-a zobowiązała się do szeregu inwestycyj w zakresie technicznego udoskonalenia sieci oddawanych w jej władanie.

„UDOSKONALENIA" TECHNICZNE

Dzisiaj, po upływie 13 lat od chwili własnowolnego oddania się w... szwedzki jassyr, woła o pomstę do nieba nietylko sprawa liczników, nietylko bezpodstawne, czasami wręcz bezczelne rachunki za rzekome rozmowy ponadkontyngentowe. Dzisiaj widzimy, jak na dłoni, że PAST-a rządzi się u nas bezporównania gorzej niż powiedzmy Elektrownia, a napewno równie źle, jak Żyrardów. Oczywiście — zło to spada wyłącznie na konsumenta i Państwo, podczas gdy szwedzka spółka konsekwentnie i bezkompromisowo napycha sobie kieszenie.

Dalecy od frazeologji, przytoczymy garść wiele mówiących faktów.

STACJA NA ŻOLIBORZU

Więc oto niedawno ukazała się w prasie, rozlansowana przez pewną ajencję pseudodzienikarską, pozostającą na usługach PAST-y, notatka o budowie stacji automatycznej telefonów na Żoliborzu.

Łatwowierny czytelnik notatkę te przyjął jako jeszcze jeden dokument rozwoju Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, nie wiedząc oczywiście nic o tem, że PAST-cie z bardzo ciężkim sercem wypadło zgodzić sie na budowę tej stacji. Kiedy bowiem Żoliborz rozrastał się w tempie iście amerykańskiem, panowie z PAST-y, konsekwentnie uprawiający kolonjalną politykę „na załapanego" nie myśleli o tem, żeby w tej dzielnicy Wielkiej Warszawy inwestować gotówkę.

A GDYBY EPIDEMJA?

Pp. Klewinom i Mucharskim ani w głowie postało troszczyć się o telefony dla Żoliborza. Podczas miłych „dyskusyj" dancingowo - knajpianych nie pomyśleli o tem, co będzie, jeśli powiedzmy na tymże właśnie Żoliborzu wybuchnie jakaś epidemja i telefon stanie się jedynym łącznikiem między mieszkańcami tej dzielnicy, a sercem Warszawy...

To było poza granicą przewidywań dyrekcji PAST-y.

Rezultat, aczkolwiek dziękować Bogu wspomniana dzielnica Warszawy nie znalazła się w żadnej specjalnej opresji, to przecież jej błyskawiczna rozbudowa spotkała się z absolutnem nieprzygotowaniem technicznem sieci telefonicznej.

Przewody biegnące na Żoliborz są tak przeładowane, że już od trzech miesięcy zarząd PAST-y nie przyjmuje nowych zgłoszeń na instalacje aparatów, odkładając sprawę do chwili zbudowania.. stacji automatycznej przeznaczonej specjalnie dla Żoliborza.

WOJNA, I CO WTEDY?

Zacytowaliśmy Żoliborz jako najkonkretniejszy w chwili obecnej przykład. Ale to nie przeszkadza, że z całą stanowczością możemy stwierdzić, iż na wypadek wojny opłakany stan sieci PAST-y w Warszawie przyczyni się niewątpliwie do bardzo licznych i poważnych komplikacyj, tem bardziej, że w chwili obecnej PAST-a niema absolutnie żadnych rezerw technicznych.

Akt koncesyjny, który cytowaliśmy w poprzednim numerze wspomina m. in. o konieczności używania przez PAST-ę nowych i pierwszorzędnych materjałów technicznych.

A jak jest w rzeczywistości?

DREWNIANE APARATY

W ilu domach po dziś dzień, zwłaszcza w północnej dzielnicy miasta, pokutują archaiczne drewniane skrzynki telefoniczne, zamiast nowoczesnych aparatów tak starannie wykonywanych przez Państw. Zakłady Tele i Radjotechniczne.

Zamiast uziemienia wszystkich przewodów, ile jest jeszcze dzisiaj w Warszawie linij napowietrznych, a jeśli idzie o kable podziemne, to czy aby posiadają one naprawdę przepisową średnicę? Wydaje nam się, że tak niejest, co łatwo można stwierdzić przy rozmowach międzymiastowych...

INWESTYCJE PASTY

Oczywiście PASTa odpowie nam na to, że inwestowała wszakże wielkie sumy w... automatyzacji telefonów. Tak jest istotnie, ale z tytułu tych inwestycyj niema najmniejszych korzyści abonent, natomiast zgarniają one olbrzymie sumy dla szwedzkiego Ericsona.

STARY SZMELC

Kiedy już mowa o licznikach, nie od rzeczy będzie zerknąć na nie trochę innem okiem, niż robiono to dotychczas. Wszelkie zarzuty przeciw ich nieprawidłowemu funkcjonowaniu, PAST-a odpiera zwykle argumentem, że dane cyfrowe są ścisłe, bo rozmów nie oblicza omylny człowiek, a notują je skrupulatnie... zdjęcia fotograficzne tarcz licznikowych. Ba, ale PAST-a przemilcza fakt, że zainstalowane w centrali przy ul. Zielnej liczniki są nie nowoczesnego, cyfrowego typu, a typu zegarowego, to też zależnie od miejsca, z którego robione jest zdjęcie, wskazówka zegara licznikowego pokazuje inną cyfrę.

Zresztą, jak to jest naprawdę z licznikami, mógłby o tem najlepiej powiedzieć b. monter PAST-y, a obecny kierownik centrali p. Wysocki. Oczywiście, gdyby ze względu na swe dobrze płatne stanowisko w PAST-cie chciał mówić.

PASTOWE KAGAŃCE

„Polska" Spółka potrafi jednakże z nielada talentem nakładać bardziej wtajemniczonym pracownikom kaganiec na usta. Kagańcem takim jest najczęściej dobrze płatna posada, dzięki czemu np. jeden z pracowników tej „szacownej" firmy, mający bezpośredni wgląd w rachunki instytucji, w przeciągu niespełna 10 lat pracy w PAST-cie kupił sobie wcale niebrzydki mająteczek pod Białą Podlaską.

POTENTAT BUDOWLANY

Nie mówmy oczywiście o p. dyr. Klewinie, który z dyrektora PAST-y przeobraża się stopniowo w... potentata budowlanego, i w chwili obecnej jest już właścicielem trzech domów w Warszawie, a jedna z wywiadowni zaznacza, że „zasługuje na kredyt do miljona złotych..."

Mało ludzi w Polsce, dzisiaj w czasach szalejącego kryzysu i bezrobocia może poszczycić się taką chwalebną lokatą!

DLACZEGO NIE CECHOWANE

Wracając jeszcze do sprawy liczników, które wedle zdania panów z baszty Cedergrena są najbardziej nowoczesne i funkcjonują znakomicie, mamy śmiałość zapytać się dlaczego te liczniki nie są, tak jak inne mierniczе przyrządy, wagi czy liczniki samochodowe, cechowane przez państwowy urząd wag i miar?

Czyżby to było nie na rękę „Polskiej" Akcyjnej Spółce Telefonicznej?

Ta garść faktów mówi chyba dostatecznie dużo, ale... jeszcze nie wszystko.

Jerzy Grotnowski.

Karjera warszawskiego dziennikarza

Wedle krążących w Warszawie pogłosek, popularny na gruncie tutejszym dziennikarz p. Mieczysław Nowiński, polski korespondent koncernu prasowego Hearst'a, po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — ożenił się w Nowym Yorku.

Małżonką red. Nowińskiego ma być znana b. przystojna i b. bogata adwokatka nowojorska, której ojciec jest właścicielem szeregu hoteli w N. - Yorku i Chicago.

Teść zgodził się na małżeństwo córki z red. Nowińskim jedynie pod tym warunkiem, że dzienikarz wstąpi do szkoły hotelarskiej, w której przejdzie wszystkie etapy żmudnej pracy w tej dziedzinie...

Tasama plotka powiada, że do niespodziewanego wyjazdu red. Nowińskiego do Ameryki przyczyniła się znana w warszawskim highe-lifie p. Varden hr. Cittadini, która posądzała rzekomo red. Nowińskiego o wszczęście akcji prasowej przeciwko niej, w związku ze sławną sprawą fundacji zmarłego miljonera amerykańskiego, pierwszego męża hr. Cittadini, p. Verden'a.

Przypuszczamy oczywiście, że są to zwykłe plotki, które jednakże z obowiązku dziennikarskiego notujemy.

Zatarg „honorowy"

Klub karciany niefortunnego aktora p. Gielniewskiego, który to lokal istnieje w stolicy dzięki miękkiemu sercu jednego z b. urzędników, był przed paru dniami widownią, niestety nie pierwszego, ale wcale nie budującego zajścia.

Oto dwaj stali bywalcy klubu, dyrektor papierni „Klucze" p. Adam Szwarcsztajn i p. mec. Oderfeld w wyniku rozegranej partji bridża posprzeczali się, przyczem p. Szwarcsztajn niezbyt pochlebnie wyraził się o „karcianej" solidności p. Oderfelda, który oburzony tem do żywego — spoliczkował przemysłowca.

(Dokończenie ze str. 2-ej).

tan, ale i inne czynniki. Przecież wszyscy doskonale pamiętamy te czasy, kiedy to za kilka tysięcy dolarów założona przez młodego Żyda fabryka wyrobów gumowych w iście amerykańskiem tempie rozrosła się do rozmiarów groźnego konkurenta dla najstarszych przedsiębiorstw tego typu w Europie.

Eksportowano z tej fabryki polskie wyroby na cały świat. I kiedy na fabrykę spadły pierwsze ciosy nieroztważnej polityki, Lewiatan patrzył obojętnie, ba... nieomal z radością na powolny upadek placówki, która miała wszelkie szanse powodzenia.

DROGA LEWIATANA

Bez większego zainteresowania tenże Lewiatan przyglądał się już potem, jak na miejscu zrujnowanej fabryki, powstawał charakterystyczny dla naszych warunków przemysł anonimowy. Jak wyrastały nędzne fabryczki ciemnych geszefciarzy, którym oczywiście ani w głowie postało aby płacić podatki czy wykupywać patenty.

Ale Lewiatan był ponad tem. Obojętny, zimny, cyniczny, szedł i idzie w dalszym ciągu tylko tam, gdzie spodziewa się znaleźć żyłę złota, ale.. dla siebie, bo Rzeczpospolita — to tylko splendor i to splendor, za który ani p. Wierzbicki, ani jego ludzie niechcą sie nawet odpłacić.

Alfa.

Dobra opinja od... 50 groszy!

Usuńmy te anomalja z naszego życia

Nie można uważać Polski za „Polizeistad" — daleko nam do takiej „doskonałości", oczywiście w porównaniu z innemi państwami, w których rządzeniu, odbywa się naogół przy udziale tego właśnie aparatu bezpieczeństwa.

Takie niemieckie Gestapo, czy sowiecka G.P.U., lub włoska policja (rozkręcająca nawet lornetki, ludziom zbyt długo przypatrującym się Mussoliniemu), są instytucjami o ustalonej i nieprzychylnej wysoce opinji, którą np. nie cieszą się policja brytyjska, albo nasza.

policji zaborczej.

Są jednak i u nas pewne anomalja, tak bardzo jaskrawe, że... warto im poświęcić więcej miejsca, warto je przeanalizować, żeby ujrzeć całą ich absurdalność.

WYWIADY DOMOWE

Nasza policja stołeczna nie zawsze zajmuje się wywiadami osobiście, będąc wyręczana w tych sprawach, instytucją powstałą po 1864 roku, dla ułatwienia działalności ówczesnego systemu policji carskiej. Instytucją tą byli wówczas „dwornicy", następnie stróże, a dziś dozorcy.

Otrzymali oni wówczas monopol na zamykanie i otwieranie bram, dający oczywiście niezłe dochody w postaci szperand, wzamian za informowanie „rewirowych" i „pristawów" o nieprawomyślności domowników. Taki dwornik wiedział u kogo schodzą się na wódkę, u kogo na karty, a u kogo na zebrania. O ile ktoś niezbyt skrupulatnie uiszczał dychy, stróż nabierał o nim złej opinji, którą dzielił się z „rewirowym", szkodząc nieraz bardzo, przeważnie niezamożnym mieszkańcom.

Taką ujemną opinją cieszyli się u stróżów studenci, którym pokoiki rewidowano za lada aluzją przy „władzy", że tam „schodzą się".

DOZORCA — OPINJODAWCA

Pewien taki student odmówił podpisania negatywnego wyniku rewizji, na skutek dopisku iż nie będzie o nią rościł pretensji.

Dokument ten podpisał stróż dosłownie: „**za niegramotnawo studienta tretiawo juridiczeskawo fakultieta razpisalsia storoż**".

I obecnie dozorca opinjuje, czy lokator zasługuje na paszport zagraniczny, pozwolenie na broń i... świadectwo moralności.

Taki lokator, co przychodzi „z dziewczynką" i płaci pół złotego za otwarcie bramy, cieszy się znakomitą opinją, na równi z takim, który zalany na pestkę daje zamiast dwudziestu groszy — jeden złoty. Pan dozorca informuje władzę i często nieznajomych, którym (nieraz wywiadowcom złodziejskim) rozpowiada kiedy lokatora niema w mieszkaniu, a kiedy zwykle wraca, etc.

BIURO ADRESOWE

Drugą instytucją wywiadowczą w innych państwach dostępną tylko dla policji, jest warszawskie biuro adresowe w którem byle łobuz może, za kilka groszy, zdobyć adres spokojnego mieszkańca stolicy.

Rozumiem, że taka instytucja jest niezbędna dla policji, ale dlaczego pierwszy lepszy gość ma prawo wkraczać w jej atrybucje i szukać, nieraz dla podejrzanych celów odpowiednich adresów.

Oto kilka „kwiatków", któremi powinien się zainteresować twórca idei „Warszawa w kwiatach", urzędujący o piętro nad biurem adresowem p. Prezydent Starzyński.

ZA TWOJE MYTO...

Koło parku Ujazdowskiego goniła raz policja w nocy pewnego oprywszka, dość coprawda, zważywszy na ciężkie buty, bezskutecznie. Trzeba trafu, że przechodził tamtędy zamieszkały w pobliżu pan Z., młody i szybkobieżny obywatel, który pospieszył z pomocą policji i dogonił zbója.

Zbója tego następnie skazano na trzy lata kryminału, po którego odsiedzeniu, udał się on natychmiast do biura adresowego dla odnalezienia pana Z. którego nazwisko i imię specjalnie sobie zapamiętał z rozprawy sądowej.

Rezultatem były odwiedziny pana Z. przez kolegę przestępcy, zakończone odleżeniem, honorowego pomocnika policji, w szpitalu na szczęście parudniowem, gdyż ręka nasłanego nożowca nieco wyszła z formy.

Przeciwko zbójowi — promotorowi nie było dowodów, a pan Z. musiał się wyprowadzić z Warszawy, gdyż dzięki informacjom z biura adresowego, koledzy mściwego oprywszka nachodzili go kilkakrotnie w niedwuznacznych zamiarach.

HIJENY CZYCHAJĄ!

A oto inny wypadek. Pani baronowa N. przygarnęła na służącą kobietę, niegdyś zarejestrowaną w urzędzie sanitarno - obyczajowym. Służąca ta, była w gruncie porządną dziewczyną, której chwilowe wykolejenie nie wynikało z psychicznych mankamentów lecz głodu. Gdy otrzymała posadę, była szczęśliwa i wszystko rokowałoby jak najlepszą jej przyszłość gdyby nie... biuro adresowe.

O adresie jej, u baronowej, która zresztą była o przeszłości swej służącej poinformowana, dowiedzieli się dawni znajomi — sutenerzy. Poczęli ją nachodzić, żądając pieniędzy, wyczekiwać na schodach i w bramie, wymyślając przy sąsiadach oraz terroryzować obietnicą zemsty.

Nieszczęśliwa, nie mając spokoju, nie mogła utrzymać się na powierzchni życia i po usiłowanem samobójstwie, wróciła zpowrotem na... ulicę.

ZNAJOMKOWIE Z... KRYMINAŁU

Syn pewnego, dość zamożnego pana za drobne fałszerstwo dostał się do aresztu na trzy miesiące. Areszt ten prawdopodobnie poprawiłby go i uczynił zeń zpowrotem dobrego obywatela, który po odcierpieniu kary stałby się na nowo członkiem społeczeństwa. Cóż z tego! Poznani w areszcie centralnym recydywiści, po dowiedzeniu się w biurze adresowym o jego miejscu zamieszkania, poczęli go odwiedzać i ciągnąć do swego towarzystwa na nowe roboty.

Chłopak uległ i przystał do aut law'ów na stałe.

To samo ma miejsce z eks - alkoholikami, którzy po wyleczeniu z nałogu wracają do Warszawy z leczenic.

Mimo, że ich żony i rodziny usiłują zakonspirować ich adresy, kompanowie od kieliszka dowiadują się i zpowrotem wciągają wyleczonych w zgubny nałóg. Wszystkich tych wypadków zresztą w 100% autentycznych uniknęłoby się gdyby nie... biuro adresowe.

JAK JEST ZAGRANICĄ?

O wiele byłoby lepiej gdyby instytucja ta podlegała policji, któraby dopiero decydowała, czy poszukujący czyjegoś adresu osobnik zasługuje na wskazanie mu go i czy nie wyzyska tej informacji dla złych celów. Tak dzieje się w Chicago, Berlinie i Paryżu. W tym ostatnim mieście biuro adresowe dostępne wszystkim istnieje tylko dla rejestracji cudzoziemców.

Obywatel stolicy wszystkich innych państw, za wyjątkiem Warszawy korzysta z tajemnicy adresu tak jak i listu, oraz rozmów telefonicznych.

TAJEMNICA ADRESU

W naszej stolicy można zastrzec sobie swój numer telefonu, najsłuszniej zresztą w świecie. Można uchronić się od... dzwonków, niepożądanych osób, ale nie można uchronić się od wizyt b. przestępców, alfonsów, pijaków i „miłych" znajomych z prowincji, lub kolegów z wojska chcących, zamiast hotelu zaoszczędzić na przenocowaniu.

Czyżby nie można było zastrzec swego adresu narówni z telefonami? Przydałoby się to bardzo, dla ludzi pragnących spokoju, pracujących umysłowo i t. p.

Jeszcze istnieje trzeci wypadek, w naszym życiu, związany z kwestją „wywiadowczą", a jeszcze bardziej biuralistyką. Są to tak zwane notowania w Urzędzie Śledczym. Niech kogoś policja „capnie" na ulicy bez dokumentów, albo o niefotogenicznej minie z punktu fizjonomistyki Lombrosowskiej — to prowadzi go do wydziału rejestracyjnego w urzędzie śledczym. Spisują tam z nieboraka generalja, nieraz uwieczniają odbitką paluszków i taką kartę zostawiają w aktach, tej potrzebnej skąd inąd wielce, instytucji, na wieczność. Gdy takiego „notowanego" sąd uniewinni co zdarza się częściej niż się można spodziewać, nazwisko jego pozostaje mimo to w kartotece nadal.

W Anglji taki dokument musi być komisyjnie zniszczony, a nazwisko zrehabilitowanego obywatela wytarte, czy zmazane we wszystkich spisach i wykazach. U nas tego się nie robi.

SMUTNA PRAWDA

Pewien młody człowiek był 17 lat temu w znanej warszawskiej kawiarni gdy wpadł tam modny wówczas komisarz Wiskowski łowca macherów walutowych. Wszystkich obecnych w kawiarni, wraz z młodzieńcem zaprowadzono do rejestracji. Młodzieńca który nie handlował dolarami, a w kawiarni był aby napić się pół czarnej, zwolniono wkrótce i wszystko zdawałoby się być zakończone, gdyby nie...

NIEPOTRZEBNY, BO NOTOWANY CZŁOWIEK

Niedawno ten pan, miał uzyskać poważną posadę państwową, przed której objęciem zainteresowany urząd zwrócił się do centrali rejestracyjnej o „czystość kartoteki". Odpowiedziano stamtąd, że taki i taki jest notowany.

Prawnie i fonetycznie słowo **notowany** jest nieskomplikowane, ale w psychice niektórych osób, odnośnie do kogoś jest straszliwie. Osoba, o której pisałem ma przez to straconą posadę, bo rzeczywiście była **notowana**, ale że go potem przeproszono, nawet szczerze, za zatrzymanie z tego nic w aktach nie pozostało. Słowo **notowany** tkwi tam wieczyście.

USUŃMY ANOMALJA

Czyby tych trzech anomalji nie można było jakoś zmienić na lepsze?

Czy muszą bezapelacyjnie tkwić w naszem i bez tego smutnem życiu? Czy naprawdę dozorca jest dostatecznie miarodajną personą, aby opinjowała o naszem życiu?

Warto się nad tem wszystkiem zastanowić.

Dr. J. P. Zajączkowski.

Idjotyzmy...

Znowu recenzenci filmowi

Recenzje filmowe w prasie krajowej, warszawskiej i prowincjonalnej, to istna kopalnia nonsensów, durnych powiedzonek i głupich konceptów.

Jeden z tych recenzentów, o którym niedawno pisaliśmy, znowu wyczynia cuda. Nietylko, że nieodróżnia Joan Bennet od Konstancji Bennet, ale nie orjentuje się nawet w zasługach swego przyjaciela p. Konrada Toma!

To wszystko jest jednak stosunkowo nieważne, bo ignorancja tego pana ośmiesza tylko jego własną, nieciekawą osobę. Zdarzają się natomiast wypadki, kiedy czyjś brak orjentacji przynosi szkodę Bogu ducha winnym osobom.

W prasie wileńskiej naprzykład, a szczególnie w „Słowie", grasuje niejaki pan Tad. C., który lubi się popisywać zakulisowemi wiadomościami ze świata artystycznego, nie mając równocześnie o nim najmniejszego pojęcia. Ostatecznie recenzja filmowa istnieje poto, aby omówić wartość filmu, a nie w celu głupkowatego dowcipkowania na temat życia prywatnego jego twórców, jak to miało miejsce m. in. w recenzji p. Tad. C. z „Panienki z Poste - Restante".

Z pewnością producenci filmowi, reżyserzy i aktorzy nie interesują się bynajmniej osobą p. Tad. C., ilością jego żon, dzieci, przyjaciółek czy sióstr, ani też tem, czy sypia przy otwartem oknie i czy używa chustek w kratkę, niechaj więc również i p. Tad. C. zajmie się wyłącznie oceną filmów, a tamtych panów pozostawi w spokoju!

Tytuły filmów

Wiadomo, że polskie filmy nie są najlepsze w Europie. Może nawet są najgorsze, a w każdym razie takich głupich i niedorzecznych tytułów nie spotkasz chyba nigdzie!

Oklepany banał (Pieśniarz Warszawy, Parada Rezerwistów, Dodek na froncie, Abecadło Miłości, Rapsodja Bałtyku, Jego wielka miłość, Jego Ekscelencja Subjekt, Jaśnie Pan Szofer) walczy o palmę pierwszeństwa z bezdenną głupotą: „Czy Lucyna to dziewczyna?", „Co mój mąż robi w nocy?", „Nie miała baba kłopotu" etc.

Serja bynajmniej nie jest zakończona. Najbliższe szlagiery nazywają się: „Fredek uszczęśliwia świat" i „Ada, to nie wypada!"

Piękna skarbnica ludzkiej mądrości i pomysłowości!

Od desek kabaretu

Do szkoły szpiegowskiej

Pisaliśmy już o postaciach nędznych zdrajców i szpiegów, którzy w okresie niewoli państwa, stali na usługach zaborców, odgrywając rolę prowokatorów i denuncjatorów. Spośród tych osób, które dzisiaj żyją między nami na pierwszy plan wysuwa się postać **b. aktora Alfonsa Fortwila-Festenstadta.**

KARJERA SCENICZNA

Fortwil - Festensztadt pochodził z niezamożnej rodziny warszawskiej. Od młodych lat czuł on zamiłowanie do sceny. Toteż po opuszczeniu szkoły średniej wstąpił on do instytutu dramatycznego, kierowanego podówczas przez znakomitego pedagoga Piątkowskiego.

Festensztadt zdobywa wkrótce popularność jako śpiewak kabaretowy. Toruje on niejako drogę lekkiej piosence, której wkrótce sądzonem było stać się jednym z najbardziej eksponowanych rodzajów współczesnej „sztuki" teatralnej.

ZŁE NAWYKI

Festensztadt od młodych lat wykazuje jaknajgorsze skłonności. W Warszawie zaczyna on hulać i dostaje się do towarzystwa najgorszego autoramentu. Tutaj styka się on z kulisami roboty szpiegowskiej i zostaje wciągnięty w jej sidła. Osobą jego, jako materjałem na zdolnego szpiega, zainteresował się specjalnie Józef Hertz, jeden z najniebezpieczniejszych ochranników i zawodowych szpiegów, o którym zresztą będziemy pisali w następstwie.

„POD GILOTYNĄ"

Festensztadt występuje na scenie pod pseudonimem Fortwil. Szczególnie popularna jest jego piosenka „Pod gilotyną", której ponura melodja i treść, opiewająca dzieje szpiega i zdrajcy towarzyszyć ma już przez całe życie temu człowiekowi.

„KARJERA" PARYSKA

Dzieje szpiegowskiej karjery Festensztadta układają się błyskawicznie.

W przededniu wojny zostaje on wysłany do Paryża i tutaj wchodzi w sfery polskiego towarzystwa przebywającego na emigracji. W szczególności zapoznaje się bliżej z bracią artystyczną. Festensztadt opowiada, że założy w Paryżu teatrzyk polskich aktorów. Jak następnie okazuje się, istotnie miał on ten zamiar, zaś imprezę sfinansować miał drugi oddział rosyjskiego sztabu. Jednakże jego rola zwraca uwagę kierowniczych kół na emigracji, w **szczególności ostrzega przed Festensztadtem prezes Hieronimko.**

Śpiewak wraca do Warszawy. Dzieje się to w przededniu wybuchu wojny. Hertz werbuje już energicznie agentów do międzynarodowej organizacji szpiegowskiej. Zwraca on uwagę na Fortwila. Decydująca rozmowa, która zaciążyła następnie nad życiem obu odbywa się w mieszkaniu „Josifa Michajłowicza Gertza". Festensztadt zostaje skierowany do szkoły szpiegowskiej w Buczaczu pod Siedlcami.

ROSYJSKA SZKOŁA SZPIEGOWSKA

Szkoła szpiegowska założona przez sztab rosyjski, znajdowała się w zapadłej wiosce za Siedlcami. Uczniowie mieszkali w pojedyńczych izbach, każdy pozostawał pod eskortą jednego żandarma. Wzajemne kontaktowanie było utrudnione. Władzom rosyjskim chodziło o ustrzeżenie się przed niemieckim wywiadem. Tymczasem wszystkie środki ostrożności nie pomogły. Jak się później okazało, wywiad niemiecki posiadał swoich agentów wśród uczni.

ŻYJĄ I SĄ TU...

Po ukończeniu szkoły Festensztadt zostaje wysłany „na robotę". Do organizacji, pozostającej pod kierownictwem Hertza należeli nadto b. portjer hotelu Bristol Wiśniewski, bracia Firstenberg, Wilner, niejaki Szapiro, Otto Claut, o którem już była mowa.

Spośród tych postaci żyją i przebywają w Warszawie Hertz, Wilner, jeden Firstenberg i sam Fortwil. Drugi Firstenberg i Szapiro **zostali straceni w Berlinie na skutek denuncjacji Fortwila.**

Bazami operacyjnemi bandy szpiegowskiej była Warszawa, Berlin, Kopenhaga i Torneo. W tych ostatnich dwóch miejscowościach znajdowały się niejako sztaby operacyjne.

SZPIEG I ŚPIEWACZKA

Festensztadt zostaje zaopatrzony w fałszywy paszport i w roli kupca wyjeżdża do Berlina. Zadaniem jego było skontaktowanie się ze śpiewaczką kabaretową Elzą Warm, kochanką Wilnera, która miała mu zdradzić pewne tajemnice. Fortwil z powodzeniem wykonuje plan. Pobyt jego w Berlinie trwał kilka dni. Po wyjeździe jego Elza Warm zostaje aresztowana i wkrótce stracona. Poza nią zostaje stracony pewien oficer niemiecki. Jak następnie okazało się, władze niemieckie wpadły na trop afery, jednakże Fortwil uchodzi bezpiecznie.

Tajemnica ujawnienia afery zostaje odsłonięta dopiero po pewnym czasie.

NA DESKACH „TIVOLI"

Członkowie bandy znaleźli się w Kopenhadze, w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Kopenhaga zostaje odcięta od Warszawy, wojska niemieckie wkraczają do b. zaboru rosyjskiego wślad za odstępującemi pułkami rosyjskiemi.

Szpiedzy znajdują się w rozpaczliwej sytuacji — bez pieniędzy, odcięci od swego sztabu. Fortwil jednakże nie martwi się. Uzyskuje on angagement w teatrzyku „Tivoli" w Kopenhadze i zaczyna prowadzić niezwykle szeroki tryb życia, w tymże czasie, kiedy koledzy przymierają z głodu. W tym też czasie **Hertz wpada na trop zdrady Fortwila** i ujawnia, że w czasie pobytu w Berlinie Fortwil sprzedał się sztabowi niemieckiemu, wydał liczne tajemnice i między innemi wskazał na rolę śpiewaczki Elzy Warm. Tutaj w Kopenhadze, na obcym gruncie między szpiegami następuje dramatyczne starcie.

ARESZTOWANIE

Hertz grozi Fortwilowi, że jeszcze wpadnie on w ręce rosyjskiego sztabu i zostanie rozstrzelany.

Tymczasem rzuceni na obczyznę warszawianie czynią rozpaczliwe starania o dostanie się spowrotem do rodzimego miasta. Część uzyskuje wizy przejazdu przez Berlin. Jednym pociągiem wyjeżdżają Firstenbergowie, Szapiro i Fortwil. Wszyscy zostają w Berlinie aresztowani i jeden Firstenberg zostaje natychmiast rozstrzelany, pozostali wtrąceni do więzienia.

FORTWIL WOLNY...

Tylko **Fortwil wyjeżdża bezpiecznie z Berlina do „niemieckiej" Warszawy,** zaopatrzony w specjalne listy polecające jego osobę komendantowi policji Pokrzywnickiemu.

Tutaj w Warszawie rozpoczyna się nowa karta w ohydnej działalności nikczemnika, karta zbroczona krwią niewinnych ofiar, przeważnie spośród aktorów, którzy padli pod salwami karabinów niemieckich żołdaków.

R. O.

Artyści i „aktorzy"

Nie dla wszystkich jest miejsce w ZASP-ie

Poświęcając od pierwszego numeru wiele miejsca sprawom teatralnym, niemożemy pominąć milczeniem pewnego faktu, który, zwłaszcza w ostatnich czasach, coraz silniej przysłania oblicze aktorstwa polskiego.

W jednym z poprzednich numerów opublikowaliśmy artykuł wykazujący całą tandetę młodego pokolenia aktorskiego przekazywanego Scenie Polskiej przez instytucję do kształcenia tego pokolenia powołaną, t. j. **Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej.**

Zwróciliśmy wówczas uwagę specjalnie na miernotę wśród młodych aktorek - wychowanek PISTu, dzisiaj chcemy poświęcić trochę miejsca innej, a do tego samego zmierzającej sprawie.

Mamy tu na myśli bogaty asortyment aktorów kabaretowo - rewjowych, którzy, prawem kaduka usadowili się na tymże piedestale, który dotychczas przysługiwał jedynie co najtęższym reprezentantom sztuki dramatycznej bądź komedjowej. I tak obok tuzów tej miary co **Jaracz, Stępowski, Solski, Węgrzyn** zasiada najspokojniej w świecie „kolega" Suchcicki, „kolega" Klimaszewski, „kolega" Rzewuski, a obok **Modzelewskiej, Wysockiej, Dulęby, Ćwiklińskiej** — „koleżanka" Balcerakówna, „koleżanka" Grewiczówna, „koleżanka" Dullanka, etc.

Drodzy państwo, tu coś jest nie w porządku.

Niemamy najmniejszego zamiaru pomniejszać niewątpliwych walorów sztuki kabaretowo - rewjowej. Znikąd indziej wszakże, a właśnie z literackiego kabaretu wypłynęła na świat znakomita Zimińska, kapitalna Ordonka. Rewja dała nieodżałowaną Zulę Pogorzelską, ale te wyjątki nie potowierdzają bynajmniej reguły, która brzmi wszakże: **„właściwy człowiek, na właściwem miejscu".**

Wie o tem Jarossy, wie Tom, ale takich jak oni, jest niewielu, a przecież eksperymenty robione przez bezgłowy koncern TKKT udowodniły, że niejednokrotnie najlepszy artysta kabaretowo - rewjowy, na deskach normalnego teatru „rozkłada się" bezlitośnie.

Sprawa, którą poruszamy nie sprowadza się bynajmniej jedynie i wyłącznie do wyżej wymienionych nazwisk czołowych artystów naszych scenek i nadscenek.

Obok nich lawirują dziesiątki i setki płotek, dla których kto wie czy powinno być miejsce nawet w... Polzawidzie. Tymczasem tkwią te płocie w ZASPie, który z właściwym sobie talentem w swoim czasie najprzeciętniejszą miernotę bez wahania kreował na... **członków Związku Artystów Scen Polskich.**

Dzisiaj, w okresie niezwykłego rozwoju pauperyzacji, pauperyzacja stanu aktorskiego znajduje podwójne odbicie. Cierpią na niej nietylko prawdziwi artyści, ale cierpi przedewszystkiem publiczność teatralna. Nie trzeba bowiem tłumaczyć, że element który na scenę dramatyczną przesączył się z mniej lub więcej podejrzanych, pseudo „literackich" teatrzyków i kabaretów, jest siłą faktu elementem o moralności nader problematycznej. I to właśnie ułatwia tym „artystkom" i „artystom" wciskanie się do teatrów dramatycznych, gdzie **są znakomitymi rozsadnikami szmiry,** jaknajmniej korzystnie światło rzucającej na dotychczasowe, jakże bardzo piękne karty dziejów aktorstwa polskiego.

Niemamy bynajmniej zamiaru moralizować, dalecy jesteśmy od chęci pouczania, ale chyba sam pan Śliwicki przyzna nam, że niebardzo pasują do siebie jako członkowie jednej organizacji zawodowej np. Solski i... jakiś conferencier z bulwarowego teatrzyku.

Między kapitalnym np. **komikiem Kurnakowiczem a komikiem Wolińskim** jest, co tu dużo gadać, przepaść, którą niepotrzebnie ZASP postarał się zasypać trocinami jak zwykle chybionych pomysłów, zwłaszcza, że każdy z tych aktorów zosobna, odpowiednio użyty, będzie niewątpliwie jednostką pożyteczną; w warunkach obecnych, chociażby mieli nigdy niegrać na jednej scenie już sam fakt, że są członkami jednej organizacji, która wszelkiemi siłami stara się podtrzymać swój prestiż, mocno zresztą zachwiany, przyczynia się walnie do pauperyzacji stanu aktorskiego, a w dalszych konsekwencjach ułatwia drogę dla przeróżnych pind i prawie „księżycowych kawalerów" do desek prawdziwej Sceny, która wszakże **jest... Świątynia Sztuki.**

Krzysztof Miłosz

Procesy „panów życia i śmierci“

rzucają przykre światło na urząd komorników

Przed kilkoma dniami zakończył się w sądzie okręgowym wyrokiem skazującym proces b. komornika 10-go rewiru Leśniowskiego.

Historja szablonowa. Inkasował dla wierzycieli należności, zatrzymywał je dla siebie, a kiedy wreszcie dokonano rewizji kancelarji ujawniono braki.

SZABLONOWY PROCES

Ten szablonowy charakter sprawy komornika Leśniowskiego stanowi właśnie ilustrację zastraszającego zjawiska. Sprawy komorników stały się tak powszedniemi, że nie budzą żadnego zainteresowania. Chodzi tylko o sumę — ile przywłaszczono — tysięcy, czy dziesiatków tysięcy, czy też wreszcie krocie...

INICJATOR

Serję proecesów komorników-oszustów zainaugurował b. komornik 1-go rewiru de Castro Lacerda. De Castro Lacerda należał do najpopularniejszych postaci w szynkach warszawskich. Kiedy czas było jechać na komisję lub licytację, małżonka komornika z parasolem w ręku wyciągała męża z knajpy. Te gorszące sceny działy się przez szereg lat. Wszyscy dokoła wiedzieli o niezwykłym bałaganie w kancelarji nałogowego alkoholika, przez ręce którego przechodziły dziesiątki tysięcy złotych. I trzeba było wreszcie skargi do prokuratora poszkodowanych, ażeby władze wejrzały za kulisy jego urzędowania.

KOLEJKA NIEUCZCIWYCH

A potem przyszła kolej na innych wykonawców prawa. Na ławie oskarżonych tylko w warszawskim S. O. zasiedli kolejno komornicy: Święcicki, Żołnowski, Chmielewski, ostatnio znowu zawieszono szereg komorników u których ujawniono nieporządki i nadużycia m. in. b. kierownika komisarjatu wodnego — p. w Warszawie Szczeniowskiego, obecnie komornika w Grodzisku..

Procesy komorników ujawniają wprost karygodne szczegóły wskazujące na brak dostatecznej kontroli. Naprzykład ostatnio skazany komornik Chmielewski prowadził kancelarje kolejno w miasteczkach pod Częstochową, a potem w Górze Kalwarji. I w jednym i drugim miejscu dopuścił się nadużyć, za co został skazany dwukrotnie po dwa lata więzienia.

SNOP ŚWIATŁA

Sprawy nadużyć komorników interesują szerszy ogół.

Komornicy to urzędnicy zaufania publicznego, to funkcjonarjusze aparatu wymiaru sprawiedliwości.

I aczkolwiek komornicy są tylko wykonawcami wyroków, tem nie mniej mają duże pole do działania w szerokich granicach swoich możliwości.

Niestety tyle osób styka się w naszem społeczeństwie z tymi urzędnikami, że nie należy chyba specjalnie tłomaczyć, że nie należy chyba specjalnie tłomaczyć, iż komornik, a często jego sekretarz postępują w sposób bardziej lub mniej bezwzględny.

TRZEBA UCZCIWYCH LUDZI

Komornik może zniszczyć wierzyciela, może z całym rygoryzmem wyrzucić eksmitowanego na bruk, a może i pójść na rękę, wykazując większą względność. Samo prawo daje więc w ręce komorników potężną broń. Ludzie piastujący te stanowiska muszą być nieskazitelni, należy od nich wymagać specjalnych kwalifikacyj. Jakież są te wymagania — niewiemy, natomiast ławy sądów które coraz częściej „goszczą“ tych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, smutnie świadczą o ich kwalifikacjach moralnych.

NADUŻYCIA NAMACALNE

A należy przecież zdać sobie sprawę, że te nadużycia które doprowadzają do procesów sądowych muszą być, jeżeli tak można się wyrazić, namacalne.

Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie niewyraźną rolę zawodowych licytantów i windykatorów, którzy stanowią niejako nieoficjalny „dwór“ każdej kancelarji. Ile razy ten czy ów komornik zjawia się na wykonanie czynności, przybywają za nim hjeny licytacyjne i to dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze tesame osoby.

HIJENY

Komornicy tłomaczą się, że nie mają na to wpływu, że zawodowi licytanci, poinformowani o terminach, sami zjawiają się na miejscu. Jeżeli nawet tak jest, to kto jak nie komornik, znający dobrze ten ciemny element nie może wezwać policjanta i żądać usunięcia niebezpiecznych procederzystów. Ile razy wzywa się pomocy policji przeciwko „opornemu“ wierzycielowi, lub biedakowi, który nie chce dać się wyrzucić na bruk, dlaczego panowie wykonawcy wyroków nie wzywają pomocy policji, ażeby odpędzić niszczących dobytek ludzki pasorzytów.

CZY MUNDUR, CZY RACZEJ?...

W najbliższym czasie ma być wprowadzony mundur dla komorników. Naszym zdaniem reforma winna być podjęta nie od zewnętrznych oznak, ale od istoty rzeczy. Bo pamiętamy, że komornik z natury rzeczy jest najmniej popularną postacią wśród przedstawicieli władzy. Jeżeli poza samą istotą niemiłych dla obywatela funkcyj, będzie je wykonywał w sposób nastręczający pole do krytyki, jeżeli nie zostaną z tego zawodu wyplenione nadużycia, których wyrazem są coraz liczniejsze procesy to mundur komornika stanie się, niestety, symbolem prawdziwego zła.

Oczywiście uwag tych nie należy uogólniać. Są wśród komorników i uczciwi wykonawcy swego zawodu. W ich też interesie w pierwszym rzędzie będzie pozbycie się elementów rzucających cień na cały stan.

vox.

Bajorko na Ordynackiej

Cyrk warszawski domeną szmiry

Warszawa, przemiła stolica, która ostatniemi czasy coraz więcej i głośniej mówi o kulturze, ta Warszawa która szczyci się Towarzystwem Krzewienia Kultury Teatralnej, Akademję Literatury i jej, najczęściej niefortunnymi laureatami, ta właśnie Warszawa w swem centrum toleruje od lat zgoła nieprawdopodobne bajorko widowiskowe.

CYRK PRZY UL. ORDYNACKIEJ

Mamy tu na myśli okazały budynek przy ul. Ordynackiej. W budynku tym, jak wiadomo od szeregu lat mieści się — cyrk, w pierwszych latach niepodległości stanowiący własność p. Mroczkowskiego, potem, gdy załamała się fortuna cyrkowego magnata, impreza widowiskowa przeszła na własność pp. Staniewskich i Goldberga.

W pierwszych latach swych rządów, pp. Staniewscy wykazywali odrobinę dobrej woli, starając się montować mniej więcej przeciętnie, atrakcyjne widowiska.

NIEZŁE PROGRAMY

Sprowadzano więc co i raz średniutkie zresztą siły zachodnio - europejskie, uzupełniając je jeszcze „średniejszemi“ siłami miejscowemi. W tych to czasach programy cyrku Staniewskich cieszyły się nawet dużą frekwencją i pośród publiczności można było spotkać duży procent inteligencji, która uznając ten rodzaj sztuki, pragnęła jednakże programów mniej więcej atrakcyjnych

Jak zaznaczyliśmy wyżej bracia Staniewscy pospołu z p. Goldbergiem starali się o dogodzenie publiczności, o skaptowanie jej dla imprezy przy ul. Ordynackiej, widząc że sympatję publiczności można będzie w następstwie odpowiednio korzystnie przewalutować.

TURNIEJE

I rzeczywiście — turnieje zapaśnicze organizowane rzekomo przez lucyrku, wypychały kasę pp. Staniewskich obfitą ilością gotówki. Było tych pieniędzy tak dużo, że w pewnym momencie bracia Staniewscy wogóle zrezygnowali nawet z dotychczas podtrzymywanych pozorów „sztuki“.

SENTYMENT DLA Z. S. R. R.

Budynek przy ul. Ordynackiej stał się domeną najrozpaczliwszej szmiry, stokroć gorszej od najgorszych kuglarzy z bud wędrownych. Ponadto pp. Staniewscy i Goldberg zapałali dziwnym sentymentem dla... Sowietów. Na krótkiej przestrzeni bodaj że dzi spoza cyrku, a jedynie w gmachu trzech czy czterech programów od początku bieżącego sezonu możemy bez trudu naliczyć kilka występów sowieckich „artystów“.

Nie dziwiłoby nas to wcale, ba — przyklasnęlibyśmy nawet gospodrzom cyrku warszawskiego, gdyby poziom sztuki cyrkowej gości z Sowietów odpowiadał, powiedzmy poziomomowi kunsztu śniewaczego — Maksakowej, ale jak zaznaczyliśmy pp. Staniewscy pokazują nam zgoła koszmarną szmirę, za którą gdyby płaciło kilkudziesięciu czy kilkuset znudzonych snobów, byłoby pół biedy, ale wiadomo przecież, że właśnie cyrk jest Mekką biedoty, tych robociarzy z Powiśla, którzy za 50-taka cisną się na „jaskółce“.

KOPALNIA ZŁOTA

Nietylko jednakże do szmatławych spektakli cyrkowych sprowadza się działalność pp. Staniewskich. Pospołu z takiemi typkami, jak pp. Tornow czy Brański duo Staniewskich i samotny „pan z bródką“ Goldberg organizują t. zw. walki francuskie.

WYBIERKI

I zamiast ciekawych, nieraz wręcz artystycznych numerów cyrkowych zachodnio-europejskich, pokazuje się widzowi warszawskiemu prowincjonalną szmirę, taksamo od chwili zgonu ś. p. Pytlasińskiego „czerwony „dywan“ gości wybrakowanych „atletów“, którzy w niewątpliwie ciekawym i emocjonującym sporcie zapaśniczym albo wogóle nigdy niemieli nic do powiedzenia, albo też już nic powiedzieć, a właściwie pokazać niemogą.

W normalnych warunkach żaden z tych „atletów“ nie otrzymałby prawa wjazdu do Polski, zwłaszcza po smutnych przykładach z paru „atletami“ — aferzystami, jednakże pamietamy o tem, że p. Staniewscy mają stosunki i dzięki tym stosunkom bez najmniejszego trudu udaje im się „prezentować sz. publiczności szampiona świata...“

CO NA TO WŁADZE?

Reasumując — kilku bardzo sprytnych kombinatorów, żerując na przysłowiowej naiwności polskiej, zbiera ciężkie pieniądze z imprezy, którą powinny taksamo energicznie zainteresować się władze, jak zrobiły to w swoim czasie z rzekomo „cudzą“, a nie pp. Staniewskich imprezą — „maratonem tańca“.

To co się codziennie rozgrywa na arenie cyrkowej można ochrzcić tylko mianem ordynarnego nabijania ludzi w butelkę... Jeśli jest inaczej, jeśli się mylimy, cyrkowe walki francuskie napewno wiele zyskają na tem i błyskawicznie zrehabilitują się w oczach opinji społecznej jeśli prowadzone będą nie przez problematycznych „arbitrów“, a powiedzmy przez sędziów z... Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego.

CYRKOWE BAJORO

Będziemy mieli wówczas przynajmniej gwarancję uczciwości tych „zapasów“, a jednocześnie pewnej klasy sportowej.

W warunkach dzisiejszych cyrk warszawski urasta do rozmiarów bajorka, które bezwzględnie i jaknajszybciej powinny zlikwidować władze, przeglądając przy tem dokładnie personalja zarówno „zawodników“, jak i organizatorów tej imprezy, która wartkim strumieniem gotówki wydatnie zasila kasę pp. Staniewskich nieco nadwątloną innemi, bardziej ryzykownemi imprezami.

Oko

Czyżby naprawdę...?

... Jeden z dancingów stołecznych był terenem niesmacznej awantury wywołanej przez dokładnie pijanych przedstawicieli „złotej młodzieży“ pp. S. ze Lwowa i Z. z Warszawy?

✶

... przemiłemu aktorowi Władziowi Grabowskiemu, który przez nadmierne użycie „wody ognistej“ spowodował przerwanie premjery prasowej w Teatrze Polskim, dyrekcja T. K. K. T. niedawała obecnie żadnych ról?

✶

... we wznowionem specjalnie dla młodzieży „Wyzwoleniu“ aktorzy musieli grać w bardzo starych i b. zniszczonych kostjumach, podczas gdy dobre kostjumy dyr. Szyfman wypożyczył do Wilna? Godzi się zaznaczyć, że za prawo używania kostjumów i dekoracyj Teatru Polskiego, dyr. Szyfman pobiera od T. K. K. T. miesięcznie około 5.000 zł.

✶

... od przyszłego sezonu miał powstać w Warszawie wielki teatr operetkowy, któryby był prowadzony przez znaną artystkę i „szczęśliwego“ reżysera p. Z.?

✶

... jeden z popularnych w Warszawie kupców samochodowych przygotował na otwarcie sezonu automobilowego większą partję tanich wozów produkcji... japońskiej? Cena tych samochodów loco Warszawa miałaby nie przekraczać 3,000 zł.

✶

... organizacje, w których skupia się emiszereg występów czołowych artystów polskich meryki Północnej wyłoniły spośród siebie specjalną komisję która ma zorganizować szereg występów czołowych artystów polskich w większych ośrodkach skupiających Polonję amerykańską?

✶

...na jednym z niedawno minionych balów doszło do ostrego zajścia między znanym przedstawicielem „pozłacanej młodzieży“ stolicy p. Z., a młodym przemysłowcem p. W.? Pan Z., zresztą dobry znajomy dyr. W. zaprosił do tańca jego przyjaciółkę. Tańcząc musiał zachować się bardzo niewłaściwie, bowiem młoda kobieta, zostawiła go na środku sali i wróciła do stolika, skarżąc się na swego tancerza p. W. Krewki przemysłowiec zdarł z p. Z. frak, a następnie tak dokładnie zmaltretował“ mu fizjognomję, że do „złotego młodzieńca“ trzeba było wzywać pogotowie lekarskie.

✶

... znany przemysłowiec p. A., który niedawno, po kilkomiesięcznem „rozejściu się“ ze swą żoną, zszedł się z nią spowrotem i dla uświetnienia tego faktu wyjechał na wypoczynek do Garmisch, wrócił stamtąd bez żony, oświadczając przyjaciołom, że tym razem rozchodzi się z małżonką definitywnie? Najpikantniejszym szczegółem jest jednakże fakt, że panią A., która nota - bene jest żydówką i odznacza się nieposolitą urodą zainteresował się rzekomo wysoki dygnitarz niemiecki.

✶

... na gościnne występy do berlińskiej „Scali“ została zaproszona przemiła tancerka polska. laureatka konkursu wiedeńskiego p. Ziuta Buczyńska, która w „Scali“ma występować pospołu z... Polą Negri?

✶

..w Zakopanem panowała obecnie wyjątkowo tropikalna atmosfera erotyczna? Fachowcy twirdzą, że gdyby mężowie pań przebywających w Zakopanm, zamiast jeździć z przyjaciółkami do Krynicy, odwiedzili swe żony w Zakopanem, adwokaci konsystorscy wydatnie powiększyliby swe dochody...

✶

... małżonce jednego z przemysłowców cukierniczych, przebywającej na zimowych wywczasach w Zakopanem. jej troskliwy małżonek co tydzień przesyłał przez „umyślnego“ ni mniej ni więcej tylko... 1,000 pączków?

✶

... piękna stajnia wyścigowa hr. Żółkiewskiego przeszła w tych dniach d ręce p. Stefana Lothego, jednego z dyrektorów kolejki grójeckiej? Dyr. Lothe zapłacił ponoć hr. Żółkiewskiemu za tę stajnię 75.000 złotych.

✶

... podczas długotrwałych sporów o objęcie stanowiska ordynata na Nieświeżu, opróżnionego po zgonie Albrechta ks. Radziwiłła, wysuwano m. in. kandydaturę młodego Radziwiłła, syna ks. Leona? Kandydatura ta ma o tyle pikatny posmaczek, że młode książątko bawiąc w Paryżu, gdy papa przestał nadsyłać gotówkę, poprostu zaangażowało się w charakterze fordansera do jednego z paryskich lokali nocnych...

FRASZKI

NA NARADĘ GOSPODARCZĄ

Jedna mowa, druga mowa —
Słowa, słowa, słowa, słowa...

PO UPADKU REWOLUCJI JAPOŃSKIEJ

Wielka klapa, bo poprostu,
W Tokjo — brak... trzeciego mostu.

PO ZAKOŃCZENIU DYSKUSJI BUDŻETOWEJ

Najpierw wiele gadali, potem, w jednej chwili,
Uchwalili — co chciano — więc poco mówili?

O ŻYDACH I UBOJU RYTUALNYM

Nie mogą, psiakrew! przestać już o tym uboju —
Dotąd bydło męczyli, teraz męczą gojów!

O FUNDACJI HR. POTOCKIEGO

Czy już nie najwyższa pora,
By wezwać — prokuratora?

O. Set.



Zwykle podaje się za Rumuna, czasami Turka, albo Greka. Ciemnolicy, o kędzierzawej czuprynie przypomina raczej Abisyńczyka i to z północnej dzielnicy. Naiwne dziewczęta, które bezcelnie zaczepia na ulicy oczywiście niewiedzą o tem i łatwo biorą się na lep „egzotyzmu“ niepoprawnego Don Juana. Od czasu do czasu nasz Abisyńczyk ma poważne komplikacje rękoczynne, które jednakże nie wyprowadzają go z równowagi. Żyje pogodny i beztroski. Prawdopodobnie takisam byłby w klatce szympansów, gdzie ze spokojnem sumieniem możemy go umieścić.

Zasadniczą cechą jego powierzchowności jest zawsze nieposzlakowany garnitur. W tem ubraniu, oczywiście z angielskiego materjału, z przyjaznym uśmiechem na okrągłej twarzy o niezbyt inteligentnym wyrazie, jednakowo niechętnie przyjmuje petycje o mniejsze lub większe pożyczki, aczkolwiek wszyscy wiedzą, że z tych właśnie pożyczek żyje i to żyje po królewsku, bowiem klijentami jego są głównie kobiety, które najczęściej decydują się na najbardziej lichwiarskie procenty. Ulokujemy tego pana między szakalami. Będzie tam we właściwem towarzystwie.

INWEKTYWY

Pan hrabia

Pan hrabia jest głupcem. Ale w tej głupocie jest metoda. Pan hrabia jest natyle mądry, aby wiedzieć, że głupotę można wyzyskać: ekshibuje ją, obnosi ją, i pyszni się nią — w nadziei, że inni głupcy wezmą tę pokazową głupotę za pozór, mający ukryć inteligencję najwyższej klasy. Niektórzy mędrcy, jak Boy, udają idjotów. Pan hrabia jest idjotą. który udaje idjotę.

Zgoła inaczej ma się rzecz ze stanem majątkowym tego ekshibicjonisty głupoty. Pan hrabia jest badzo bogaty: dwa pałace w Warszawie, z których jeden odnajmuje pewna zamorska ambasada, włości pod Warszawą, latyfundja na Wołyniu, limuzyna z szoferem... Ale ten magnat udaje biedaka: limuzynę starannie konspiruje, nie jeżdżąc nią nigdy po Warszawie, intra murosi nosi źle skrojone ubrania; jada w barze, długo przebierając w „barowych daniach“ i wzdychając, w obecności znajomych, że właśnie wydaje ostatnie pięć złotych; zaproszony do „Adrji“ wymawia się i certuje: „chyba, że mi postawicie, nie mam pieniędzy, jutro będę musiał prosić moją biedną matkę o dwa złote...“

Sądzicie zapewne, że to zwykły snobizm „simple life'u“, uprawiany przez byle bubka z M. Z. S., a doprowadzony przez pana hrabiego do groteskowej krańcowości ubóstwa? Zapewne, pan hrabia jest snobem, snobem sobiepańskim: nie używając swego tytułu, jest jednak mile połechtany, kiedy kelner z „Cafe - Club'u“ szumnie i uniżenie tytułuje go „panem hrabią“.

Ale nie to jest ważne. Pan hrabia żywi swą błękitną krwią ambicję, która zakrawa na kompleks, — ambicję literacką. Pan hrabia jest hrabią piszącym.

Angloman, pozujący na warszawskiego Normana Douglasa, na intelektualistę z Chelsen, zniżającego się łaskawie do „krajowego“ poziomu; pięknoduch z urojenia, którego ulubionym tematem rozmów kawiarnianych są anegdoty o fekaljach, idjotyzmy z senników egipskich i brechty z odcinkowych powieści czerwoniaka — pan hrabia w skrytości ducha marzy o jednem: o tem, aby móc uchodzić za biednego literata, żyjącego z pióra.

Zapytanie: gdzie, o czem i jak pisze pan hrabia? Jedyne pismo, które drukuje jego wypociny, to organ pewnego handlarza kaszy literackiej, olśnionego rodowodem i tytułem pana hrabiego, wspaniałym przywilejem posiadania na swej liście współpracowników nosiciela jednego z najpiękniejszych nazwisk w Polsce. Drukuje więc, nie czytając, tasiemcowe i zakalcowate reportaże berlińskie; co gorsza — w okresie naszej najgłębszej żałoby drukuje, nie czytając, hrabiowskie zachłysty zachwytu nad wspaniałościami londyńskiego jubileuszu. Zachłysty, w których przymiotnik „cudny“ powraca w co drugiem zdaniu.

Cudny facet z pana hrabiego! Skromny reporter, który z Londynu właśnie wysyła do handlarza krupy (tylko bez złośliwych rymów,..) literackiej depeszę z zapytaniem, czy redakcja gotowa jest ponieść koszt trybuny na trasie jubileuszowego pochodu... 8 funtów czyli 200 złotych — żadna ofiara ni jest zbyt wielka, gdy chodzi o reportaż z jubileuszu króla angielskiego, podpisany nazwiskiem hrabiego — anglomana— pederasty!

Jeśli anegdoty o fekaljach i idjotyzmy z senników egipskich można odnieść na karb głupoty, która chce prześcicytować samą siebie, — to, jak widzimy, snobizm ubóstwa tkwi korzeniami w literackim kompleksie niższości. Pan hrabia, dystyngowany amator pióra, chce być traktowany, jak zawodowy reporter, żyjący z „wierszowego“. Polecamy pana hrabiego kurateli jego dostojnej rodziny, która przecież powinna bonić swej świetnej tradycji rodowej.

W znakomitej książce, jaką Feliks Topolski wydał niedawno o „Londynie 1935“, znajdujemy wizerunek pana hrabiego, opatrzony podpisem: the english gentleman.

Perfidny Feluś! — chciał napewno przez to powiedzieć, że dwustuprocentowych angielskich dżentelmenów, których prawdziwi anglicy nienawidzą najwięcej, należy szukać poza granicami Anglji, gdzieś na wschodnich kresach Europy.

Huron.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Wieczór Trzech Króli“ (Teatr Polski).— Barwna sztuka Szekspira, w jaskrawem oświetleniu współczesności bardzo wyblakła i trudno bawić się na niej równie „wykwintnie“, jak na „komedji“ Kiedrzyńskiego. Obsada ról kobiecych została dokonana prawdopodobnie wedle instrukcji któregoś z dygnitarzy — jest fatalna, a całość nudna. Kupując bardzo ulgowy bilet nie zawadzi wziąć z sobą dobrą powieść i jeśli oświetlenie sali pozwoli — czytać w czasie akcji. Pyszny Daszewski.

„Kapitan Blood“ (Kino „Atlantic“).

W dzień premjery ostatni seans rozpoczął się prawie o jedenastej, ale warto było czekać! „Kapitan Blood“ to naprawdę film pierwszorzędny, zrealizowany z wielkim rozmachem. Intryga filmu jest w najwyższym stopniu pasjonująca. Dzieje tego pięknego i szlachetnego korsarza, przyrodniego brata Surcoufa i Jean - Barta, śledzi się naprawdę z ogromnem zainteresowaniem. Reżyser węgierski Michał Kertesz, nazwany w Ameryce Curtis, który dotąd dawał nam przeważnie filmy szmirowate, tym razem spisał się, jak należy. Akcja toczy się wartko, epickie sceny bitew morskich są zrealizowane po mistrzowsku. Główny bohater filmu, nowy gwiazdor Errol Flynn jest wprost ujmujący. O całe niebo prześcignął odtwórcę roli kapitana Blooda z niemej wersji, co się zdarza niezmiernie rzadko.

Reszta obsady — bez zarzutu. Jedyny dysonans w filmie, to operetkowe zakończenie. Jest to jednak defekt bardzo drobny w porównaniu z doskonałą całością. Warto kupić bilet.

„Pan Twardowski“ (Kino „Pan“).

Właściwie recenzję z tego filmu należałoby zamieścić w dziale teatralnym. Więcej jest w tem wszystkiem teatru, niż filmu. Jednem słowem: „Twardowski“ w nieco „szarym“ sosie.

Film posiada liczne wady (teatralność, fragmentaryczność, brak przestrzeni, podłe dekoracje, brak stylu, etc. i kilka zalet (dosknała gra niektórych artystów, jak np. Stępowski, i — o dziwo! — Brodniewicz, niektóre efekty techniczne i t. d.).

Naogół film dość mało artystyczny. Reżyser Szaro nadal pozostaje na „szarym“ końcu. Karygodne jest reklamowanie całego szeregu asów sceny, które ukazują się w epizodach kilkumetrowych (Malicka, Znicz, Lindorfówna i 20 innych).

Film można ostatecznie obejrzeć za połowę ceny biletu.

„Oskarżam Cię Matko!“ (Kino „Rialto“).

Tym razem wołamy wielkim głosem: oto jest film, który każdy powinien obejrzeć, nawet gdyby miał zrezygnować z kolacji na zapłacenie biletu!

„La Maternelle“, która dostała się wreszcie na polski ekran po heroicznych zmaganiach z naszą przemądrą cenzurą, to film najwyższej klasy. Do jego wielkości przyczynia się nietylko inteligentna realizacja i świetna gra całego zespołu z kilkoma cudownemi dziećmi na czele, ale i przedewszystkiem mądra treść. Film „La Maternelle“ chce coś powiedzieć, pragnie czegoś nauczyć, i czyni to w sposób wysoce artystyczny.

Wśród aktorów wyróżniają się wybitnie: Madeleine Renaud (rola Róży), Alce Tissot (dyrektorka), Mady Berry (gospodyni) i wreszcie fenomenalna, kilkoletnia tragiczka Paulette Elambert, która w jednym palcu ma cukierkowatą Shirley Temple.

Na najwyższą pochwałę zasługuje reżyser Jean Benoit - Levy za iście anielską cierpliwość, jaką zapewne musiał mieć, aby do takich rezultatów doprowadzić grę dziecia-ków.

Na ekranie figuruje nazwisko reżysera: Jean Benoit. Mniej aryjską część nazwiska usunięto. Czyżby nasi filmowcy przejęli już zasady, stosowane w znienawidzonej przez nich „Hitlerji“??!!

Wielka przyjemność, jaką daje obejrzenie tego filmu, okupiona jest wytrzymaniem koszmarnego nadprogramu p. t.: „Akordy Wiosenne“. Czegoś podobnie idjotycznego nie oglądaliśmy jeszcze wśród krajowych krótkometrażówek. Autorzy widocznie tak bardzo wstydzą się swojej szmiry, że napisy tytułowe wykonali w sposób stuprocentowo nieczytelny. Tak jest rzeczywiście lepiej!

„Janosik“ (specjalny pokaz w kinie „Capitol“).

Narazie pokazano „Janosika“ tylko zaproszonym gościom. Film sprawia naogół doskonałe wrażenie i powrócimy do niego, jeśli ktoś go zakontraktuje. Przykro tylko, że nas nie było stać na realizację tego tematu, który jest przecież równie bliski nam, jak i Słowakom!

„Chopin, Piewca Wolności“ (kino „Roma“)

Dnia 24 lutego nastąpiło uroczyste otwarcie nowego kino-teatru „Roma“ mieszczącego się w gmachu Domu Katolickiego przy ul. Nowogrodzkiej. Sala jest pięknie urządzona i siedzieć można w niej wygodnie, ale stanowczo należy czemprędzej zmienić system oświetleniowy, który w czasie wyświetlania filmu, bo lampki umieszczone po bokach sali dają półmrok, w którym ekran staje się szary. Równocześnie lampki te odrywają uwagę.

Program otwarcia nie był może bardzo szczęśliwie wybrany. Aczkolwiek przyjemnie jest stwierdzić, że niemiecka wytwórnia zrealizowała polski temat patrjotyczny, sama satysfakcja nie wystarcza jednak, ponieważ film jest monotonny i w niektórych miejscach wręcz nużący.

Muzyka jest oczywiście cudowna i najlepiej może byłoby słuchać jej z zamkniętemi oczyma. Wtedy uczta artystyczna byłaby kompletna. Polskość nastroju tego filmu pozostawia również wiele do życzenia, ale na to niema już rady. Niektóre sceny, ale niestety bardzo nieliczne, wznoszą się zwycięsko ponad szablon i przeciętność (scena z afiszem, gra Chopina i Liszta, etc).

Pragnęlibyśmy wszystkim polecić kino „Roma“, które zwłaszcza w obecnych warunkach zasługuje na specjalne poparcie, ale radzimy jednak wstrzymać się do następnych programów.

X. 27.

IRENA GRYWIŃSKA



Czołowa artystka Teatru Kameralnego, doskonała odtwórczyni jednej z głównych ról w sztuce Fodora „Matura“.

ŚWIETNA TANCERKA



BARBARA KARCZMAREWICZ, najwybitniejsza solistka baletu Opery Warszawskiej.

Łączka kretynów

Jak się dowiadujemy senator Karszo-Siedlecki niemogąc zrealizować szczytnych planów motoryzacyjnych. kupił od żydowskiego producenta wódek K. R. Fetera z Lublina, jego fabryczkę, przyczem na rynku pojawił się już pierwszy alkoholowy produkt p. senatora, koniak pod nazwą „Carcheau“. Jeśli tak dalej pójdzie, dzięki wpływom p. senatora popularna u nas nazwa „girlsa“, zostanie zastąpiona znacznie właściwszą... „carszówka“!

stary pies.

Bój o Operę

Jak się dowiadujemy w związku gnacją Janiny Korolewicz - Way dalszego prowadzenia Opery warszawskiej, do Zarządu Miejskiego wpłynęło szereg zgłoszeń najróżniejszych kandydatów decydujących się objąć dzierżawę tej sceny. Wśród złożonych podań znajdują się ponoć następujące nazwiska ewetualnych kierowników Opery warszawskiej: **Tadeusz Mazurkiewicz, Dygas, Bierdiajew, Zygmunt Zalewski, Adam Didur, Wanda Wermińska i Roman Wraga, Rutkowski (jeden z dyrektorów T. K. K. T.) i Freszel.**

Jak widać — urodzaj wcale niezgorszy. Nie zgłosił jeszcze dotychczas swej kandydatury poprzedni dyrektor Opery p. Mossoczy.

Zespół Opery Warszawskiej, dowiedziawszy się o rezygnacji dyr. Janiny Korolewicz-Waydowej, wystosował podobno do zarządu Miejskiego petycję podpisaną przez wszystkich pracowników tego teatru. Wśród podpisanych nie brak było podobno nawet nazwiska kapelmistrza Dołżyckiego, który w okresie zbierania podpisów, ciężko zaniemógł.

SKRZYNKA DO LISTÓW

P. God. M. w/m. — Sprawdziliśmy i drukujemy.

P. Rosicka H., Sosnowiec. — Nie dla nas.

P. Koskowski B., w/m. — Sprawa jest niewątpliwie b. ciekawa, wymaga jednakże gruntownego sprawdzenia

P. Mank. Jul., w/m. — Otrzymaliśmy i... zwracamy.

P. „Hektor“, w/m. — Nie dla nas.

OD WYDAWNICTWA

POZOSTAŁE EGZEMPLARZE NR. NR. 1, 2, 3, 4 i 5 TYGODNIKA „WIEM WSZYSTKO“ SĄ DO NABYCIA W ADMINISTRACJI WYDAWNICTWA, WARSZAWA, UL. KRÓLEWSKA NR. 35/20.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— **OGŁOSZENIA:** za wiersz wysokości mm, szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr., nadesłane 1 zł., komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor odp. i wydawca JAN KRUKOWSKI

DRUKARNIA ADAMA BIAŁOBRZESKIEGO, WARSZAWA, TARCZYŃSKA 4 TEL. 680-20.